

Tadeusz

MESZKO



**ŚMIECIOWI
LUDZIE**

RUBIEŻE
RZECZYWISTOŚCI

Tadeusz Meszko (1957 r.), z wykształcenia operator filmowy, zarabia jako grafik komputerowy, członek ZLP. Debiutował w 1984 roku, równocześnie w miesięczniku „Przegląd Techniczny” („Proszę Pana, Panie Generale”) i „Opole” („Mózg pełen myśli”), zdobył wyróżnienie w II Konkursie „Fantastyki” (opowiadanie „Pożeracz szarości”, 1987).

Autor: noweli science-fiction „J.H.W.H.” (ZOR-BA 2000, przerobionej w 2016 roku na powieść „Sens życia według upadłego anioła”), zbioru opowiadań science-fiction „Tryptyk bez kolorów” (ZOR-BA 2000), powieści sensacyjno-katastroficznej „2012: gniew ojca” (1 tom „Dzieci Słońca”, Solaris 2009; 2 tom „Dzieci Boga”, Solaris 2010), powieści sensacyjnej „Śmieciowi ludzie” (Bibliotekarium 2018) oraz książek popularnonaukowych: „Klucz do DNA” (Arcanum 2014), „Matryca duszy” (2014), „10 przykazań genów” (2015).

Materiały o książce w Internecie:

[Strona autora](#)

[Audycja z autorem w „Bibliotekarium”](#)

[Audiobook „Śmieciowi ludzie”](#)

Z mitycznej Grecji opisaney przez Homera do kameralnych barów i na zatłoczone ulice Nowego Jorku, Tadeusz Meszko zabiera nas w szaloną podróż w czasie i przestrzeni, podczas której poznajemy jego nietuzinkowych bohaterów. Grupa przyjaciół, samorodnych detektywów-filozofów, usiłuje rozwiązać zagadkę kryminalną, która prowadzi ich przez labirynt niesamowitych zdarzeń.

Czy to możliwe, by centaury naprawdę istniały? Czy „śmieciami ludzimi” są tak naprawdę dotknięci palcem Bożym? A jeśli tak, to przez którego z Bogów? Jakie są plany młodego miliardera, igrającego z ludzkim DNA? Odpowiedź na te pytania znajdziecie w napisanej lekkim językiem powieści Tadeusza Meszko, w której zwykli ludzie stają się równi antycznym herosom i z podobnymi wyzwaniem muszą się zmierzyć.

Świetna, lekka lektura, pozostawiająca po sobie posmak zamysłu nad ludzką naturą i konsekwencjami „zabawy w Boga”. Polecam!

*Agata Suchocka,
autorka „Woła mnie ciemność”*

Tadeusz Meszko napisał fantastyczną powieść akcji, w której pojawiają się wyścigi samochodowe, terroryści, działacze Greenpeace oraz piękne kobiety.

W głębszej warstwie jest to jednak gorzka diagnoza naszej rzeczywistości. Obraz świata zdominowanego przez supertechnologie, dzielącego społeczeństwo na ludzi z „górnej półki” i nieprzydatne nikomu „śmieci”, odbierające wolność wyboru.

Gdy w krajobrazie Nowego Jorku ożywają opisaney przez Homera stworzenia, takie jak: centaury, harpie, syreny i cyklopy, trzeba zadać sobie pytanie o istotę człowieczeństwa i granice, których przekraczać nie powinniśmy.

Żywa wyobraźnia, połączona z nowinkami z dziedziny genetyki, zaprawiona szczyptą humoru, dała efekt w postaci niezwykle wciągającej lektury, którą polecam każdemu miłośnikowi inteligentnej science fiction.

*Wojciech Chudziński, z-ca redaktora
naczelnego miesięcznika „Nieznany Świat”.*

„Śmieciowi ludzie” Tadeusza Mieszko to znakomity przykład umiejętnego połączenia prozy rozrywkowej spod znaku sensacji oraz SF z narracją niosącą przesłanie natury ogólniejszej, sięgającej w obszary pytań filozoficznych – o człowieczeństwo; o transhumanizm; o dopuszczalne granice eksperymentu naukowego.

Cenną i stosunkowo rzadko spotykaną umiejętnością Tadeusza Mieszko jest sprawne „zamaskowanie”, wymienionych wcześniej, problemów dynamiczną, pełną narracyjnych zwrotów fabułą. Dynamikę akcji powieści „Śmieciowi ludzie” bez najmniejszej przesady można porównać z dokonaniami mistrzów powieści sensacyjnej. Autor potrafi w niezwykle zgrabny sposób połączyć elementy zagadki kryminalnej oraz suspense, co sprawia, że czytelnik ma duże trudności z oderwaniem się od lektury.

*Marek Żelkowski,
redaktor naczelny portalu BIBLIOTEKARIUM*

Tadeusz Mieszko w swojej kolejnej powieści nawiązuje do popularnych w ostatnich latach utworów, których akcja osadzona jest w bliskiej przyszłości, a jej treść związana jest z genetycznymi modyfikacjami ludzkiego genomu.

W sensacyjną akcję osadzoną w Stanach Zjednoczonych są wplecione wątki polskie (m.in. archeolożka ma polskie korzenie; pojawia się również postać taksówkarza pracującego dla całej czwórki bohaterów).

Całość jest zwięzłą opowieścią, która ma dużą szansę na sukces wydawniczy!

*dr Mirosław Gołuński,
Instytut Filologii Polskiej i Kulturoznawstwa, Wydział Humanistyczny
Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy*

Tadeusz
MESZKO

ŚMIECIOWI LUDZIE

[Kup książkę](#)

Tadeusz
MESZKO

ŚMIECIOWI LUDZIE

Bydgoszcz 2018

Bibliotekarium

[Kup książkę](#)

ŚMIECIOWI LUDZIE

Copyright © by Tadeusz Meszko 2018. All rights reserved

Copyright © by Bibliotekarium 2018

Redaktor prowadzący – Marek Żelkowski

Redakcja – Wojciech Chudziński

Korekta – Anna Potrzeba

Projekt typograficzny oraz logo serii – Tadeusz Meszko

Skład – Tadeusz Meszko

Projekt okładki – Tadeusz Meszko

Fotografia na okładce – Tao Szatański (pasaż w Freedom Tower w Nowym Jorku)

W książce wykorzystano fragmenty *Odysei* Homera, w tłum. Lucjana Siemieńskiego, Tower Press, Gdańsk 2000.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujemy cudzą własność i prawo.

Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

Wydanie I

Bydgoszcz 2018

ISBN 978-83-950151-5-1

RUBIEŻE
RZECZYWISTOŚCI

Bibliotekarium

ul. Kaczmarczyka 17, 85-796 Bydgoszcz

e-mail: redakcja@bibliotekarium.pl

Nevicom sp. z o.o.

ul. Kaczmarczyka 17, 85-796 Bydgoszcz

[Kup książkę](#)

*Dla Edyty, za uratowanie mi życia podczas zrywania
jabłek – kilka kilometrów od miejsca, gdzie odnaleziono
grób centaury.*

*Podziękowania dla Tao Szatańskiego, za wirtualny kurs
jego taksówką po Nowym Jorku.*

Spis treści

Rozdział 1.

Groby i śmietniki

[Czyj to szkielet?](#)

[Uwolnić śmieci](#)

[Fatalny początek tygodnia](#)

[Znajdź mi filmowca](#)

[Dziewczyna jak syrena](#)

Rozdział 2.

Grzebanie w śmieciach

[Wizytacja sponsora wykopalisk](#)

[Spotkanie z dawnym dowódcą](#)

[Piątek wolności: wyborcze dylematy](#)

[Niedzielną przejażdżką](#)

Rozdział 3.

Fasady

[Nie ma jak w domu](#)

[Piątek wolności: Olimpiada i modyfikacje ciała](#)

[Wizyta w Luna Park](#)

Rozdział 4.

Rach-ciach siekierką

[Dyskoteka przebierańców](#)

[Chcę być syreną](#)

Rozdział 5.

Dwa światy

[To nie ten trop](#)

[Wyniki badań szkieletu centaury](#)

[Odnalezienie tropu](#)

[Wyprawa do innego świata](#)

Rozdział 6.

Klonowanie na zamówienie

Zaciskanie wężła

Piątek wolności: genetyka na co dzień

Ja mam czyste ręce

Gabinet doktora Garilicy

Rozdział 7.

Hodowla doskonałych żołnierzy

W fabryce zmutowanych wojowników

Pochwycenie intruzów

Nie my was zapraszaliśmy

Rozdział 8.

Śmieciowa kolacja

W siedzibie Haddada

Zwiedzanie rajskego ogrodu

Wasze transformacje

Rozdział 9.

Więżniowie rajskego ogrodu

Federico w przedszkolu

Ann w bibliotece

Nie chcę pletw

Przebudzenie Terrego

Pierścienie Rotwanga

Udany lot Terrego

Rozdział 10.

Być jak bogowie

Ucieczka

Piątek wolności: Powrót do normalności

Rozdział 1.

Groby i śmietniki

Czyj to szkielet?

Czy może być coś bardziej wyciszającego natłok myśli, niż ukrycie się przed palącym słońcem w cieniu drzew oliwnych? Ann Laskowski, biała kobieta o delikatnych, wschodnich rysach twarzy, już nie była tego pewna. Ann od wielu miesięcy z determinacją prowadziła wykopaliska, lecz w tej chwili schroniła się, mówiąc, że musi coś sprawdzić w notatkach. A prawda była taka, że zwątpiła w sens swoich poszukiwań i musiała przetrwać gorycz porażki w samotności. Siedziała na drewnianym, koślawym krzeselku o wiklinowym siedzisku, podpierając dłońmi podbródek, wpatrzona w krajobraz. Stano-wisko archeologiczne zlokalizowane było na zachód od wioski Pelion, na wysokości ponad 1600 metrów n.p.m., pośród pagórków porośniętych głównie sosnami i kasztanowcami, z wystającymi ponad korony drzew białymi skałami. W linii prostej trochę ponad dwa kilometry od wioski, ale jazda samochodem terenowym zajmowała aż czterdzieści minut. Codzienne minuty zwątpienia czy właśnie ten dzień przyniesie przełom. Grecy filozofowie nie martwili się harmonogramem prac, tylko delektowali życiem i, popijając wino, rozprawiali o istocie bytu.

Tesalia. Zielona kraina pomiędzy górami zanurzonymi w chmurach a skrzącym się migotaniem słońca morzem. Już nie tak spalona jak Peloponez, ale wciąż ciepła, z gajami oliwnymi i zielonozłotymi, olbrzymimi jak melony jabłkami. To z Tesalii, dwa tysiące

lat temu, Jazon wyruszył na niebezpieczną, pełną niezwykle przygód, wyprawę po złote runo. Ale Tesalia to również kraina centaurów. Świątłego Chirona – wychowawcy Jazona, Heraklesa czy Achillea. Jak i pijaka oraz gwałciciela Eurytiona, który w czasie wesela króla Pejritoosa dobierał się do panny młodej. Ann już od trzech lat szukała grobu porywczego centaury, którego w niesławie pochowali inni centaurowie. Szukała i coraz bardziej wątpiła, czy go odnajdzie.

Myśli Ann błądziły między czasami Homera a własną przyszłością, której tak właściwie nie miała. W Nowym Jorku czekał na nią Terry, jednak wciąż brakowało jej pewności, czy to on jest tym jedynym. Była też profesura na uniwersytecie, grzebanie w zakurzonych dokumentach oraz wykłady dla ludzi bez pasji. Tego nie można było nikogo nauczyć – wiedziała o tym doskonale. Albo miałeś, albo nie miałeś marzeń oraz siły, by pójść za nimi wbrew zdrowemu rozsądkowi. Niestety, marzenia jej studentów nie wykraczały poza dobrze płatną pracę. Terry również nie potrafił odnaleźć własnego celu, co nie wróżyło stabilizacji związku. Wciąż walczył z niespełnionymi marzeniami, głównie o lataniu, zostaniu kosmonautą, później pilotem, a ostatnio choćby operatorem drona. Poznała go na wyspie Bahrajn w 2014 roku. Ona prowadziła wykopaliska w wiosce Al Janabiya, przeszukując groby z okresu hellenistycznego, gdzie odnalazła tak ważną tabliczkę, która doprowadziła ją do Pelion. On był na misji wojskowej, o której niewiele mówił. Wiedziała jedynie, że jest powiązana z dronami. Zanim wyjechał, coś między nimi zaiskrzyło. Spotkali się kilka miesięcy później w Nowym Jorku, a po roku zamieszkali razem w jej mieszkaniu. Cios przyszedł w 2016 roku. Terry podczas kolejnej, tajnej misji, został ranny w lewą nogę. Po rekonwalescencji, dzięki protekcji dawnego dowódcy, zaczął pracować dla charytatywnej organizacji „Lost in Life”. To go uspokoiło, tylko raz na tydzień wyskakiwał w piątek na popijawę z przyjaciółmi, ale też wewnętrznie przygaśł. Ann nie wiedziała, czy wołała go rozedrganego, wciąż poszukującego nieosiągalnego celu, czy też tego spokojniejszego, lecz wypalonego? Pojawiła się w nim jakaś zadra. Fizycznie noga została wyleczona, jedynie lekko utykał, jednak w gło-

wie powstały szkody, jak po wybuchu bomby atomowej. Z pewnością uważał, że nie jest w pełni sprawny i jeżeli Ann zgodzi się z nim zamieszkać, zrobi to z litości. Ten sposób myślenia był żałosny i rzeczywiście mógł wywoływać odruch politowania. Ale nie dotyczyło to wspólnego życia z Terryem! Jednak, poza czekaniem, niewiele mogła zrobić. A później otrzymała grand na wykopaliska w Grecji i sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej. Od trzech lat sytuacja znajdowała się w zawieszeniu, widywali się najwyżej przez kilka miesięcy w roku. I już nie wiedziała, czy warto pielęgnować ten związek, czy może lepiej poszukać nowego faceta?

Ann uznała, że czas podsumować życie. Miała już ponad trzydzieści lat. A tak naprawdę powinna przyznać się, że była przed czterdziestką. Najlepsze lata spędziła na stanowiskach archeologicznych – jak Terry goniąc za marzeniami – i już za kilka lat sama stanie się wykopaliskiem. To był ostatni czas na odnalezienie ustatkowanego męża, urodzenie dzieci. Uciekała przed takim podsumowaniem ostatnich dwudziestu lat życia, lecz kiedyś musiała sobie powiedzieć: nie będziesz drugim Schliemannem, nie udowodnisz, że baśniowe stwory Homera były istotami z krwi i kości. Już wiedziała, że była taka sama jak Terry. Obydwoje gonili za czymś nieosiągalnym. Wstępnęła po raz setny i podjęła decyzję: na razie nie będzie szukać innego mężczyzny, porzuci pracę w terenie i spróbuje uratować związek. Wróci do Nowego Jorku i będzie wykładać na uniwersytecie.

Naraz Ann zobaczyła pięcioletniego chłopca, w krótkich spodenkach i t-shirtcie z dinozaurem. Biegł w stronę namiotu, machając rękoma, jakby oganiał się od pszczoł. To był Jorgos, synek jednego z pracowników Alexisa, który bardzo pragnął mu pomóc w odkopaniu śladów praojców. „Tak się rodzą pasje, drążące nas przez całe życie” – pomyślała.

Zasapany Jorgos wpadł pod zadaszenie i chwytając ją za rękę, pociągnął w stronę stanowiska.

– Pani archaiologos, znaleźliśmy!

– Tak. A co? – zaśmiała się, pozwalając chłopcu porwać się z krzesła.

– Nie wiem dokładnie. Jakieś ostó... – krzyczał, ciągnąc ją za dłoń. – Okropne ostó. Żółte, ze strzępami materiału. Brr...

Kości? Czyżby grób Eurytiona? Teraz ona przejęła inicjatywę, ciągnąc chłopca za sobą.

– Biegnijmy, to ważne.

Już z daleka zauważyła, że grupa stoi wokół jednego z wielu stanowisk, wytypowanych przez nią jako możliwe miejsce pochówku. Takich miejsc w okolicy znajdowało się tysiące i rozkopanie wszystkich nie było możliwe. A wskazówki, którymi dysponowała Ann, miały raczej charakter intuicyjny i nie znajdowały wsparcia w dokumentach. Pogrzeb Eurytiona odbył się w trakcie wojny centaurów z Lapitami, a on nie był wodzem. Przyjęła więc, że grób nie mógł być okazały, chociaż z pewnością postarano się o zachowanie wymogów grzebania zmarłych. Podjęła decyzję, aby skupić się na pagórkach porośniętych trawą i drzewami, nawet tymi wysokimi – minęło jednak kilka tysięcy lat – które na wschodnim zboczu byłyby obsypane kamiennym gruzem.

Gdy podbiegła do stanowiska i przedarła się przez krąg wynajętych robotników, zobaczyła grób. Płytkie na metr wewnątrz, które obłożono jedynie półmetrową warstwą białych kamieni. W mroku dostrzegła kości człowieka i czworonożnego zwierzęcia. Nie, to nie była prawda – te słowa musiała powtórzyć sobie w głowie kilka razy, by to, co ujrzała, utrwaliło się w jej umyśle. To był szkielet tułowia człowieka nasadzonego na grzbiet i kończyny konia!

Cofnęła się o kilka kroków i z pewnej odległości zaczęła analizować miejsce pochówku.

To z pewnością nie był grób Agamemnona, nazywany skarbcem Atreusza, odkopany przez Schliemanna w Mykenach. Widać było, że zmarłego pochowano w pośpiechu. Co prawda odziano go w najlepsze stroje, a w pobliżu tego człowieka ułożono wyszczerbiony miecz oraz kilka dzbanów z winem, ale nie próbowano nawet pochować go głębiej, na końcu długiego korytarza prowadzącego do właściwego

grobowca. Zwłoki oparto o zbocze w pozycji stojącej – być może po to, aby mógł w każdej chwili zerwać się do biegu – i przysypano kamieniami. Grobu nawet nie uszczelniono gliną. Jednak za największe odkrycie należało uznać to, że nawet, jeżeli nie był to szkielet Eurytiona, mieli do czynienia ze szczątkami centaury. Centaura lubiącego wino.

– A gdzie jest Norbert? – była wściekła, że jej asystent nie dopilnował pracowników.

– Odszedł na pięć minut – odpowiedział Alexis, nie patrząc jej w oczy.

– Alexis, nie kłam. – Milczał, wbijając wzrok w buty. Ann rozejrzała się. Nie dostrzegła również stażystki, Teresy. – A niech to, musieli akurat teraz...

Wzięła się w garść. Już za późno na wyrzuty. Co się stało, to się stało. Ponownie podeszła bliżej i zaczęła przyglądać się szczegółom szkieletu. Aż zaniemówiła, gdy dostrzegła, że kość nosowa została ucięta, jednocześnie nie zauważyła żadnego pęknięcia czaszki. Czy zmarłemu obcięto uszy, trudno było stwierdzić bez dokładnej analizy medycznej, jednak resztki opaski wokół czaszki wskazywały, że tak właśnie mogło być. Rana potwierdzała słowa Homera – to naprawdę mógł być Eurytion. Homer napisał, że w czasie weselnej bójki Tezeusz i jego towarzysze obcięli centaurovi nos oraz uszy. Odetchnęła z ulgą. Istniała bowiem też inna, mniej prawdopodobna wersja, w której Tezeusz, z braku miecza, cisnął w głowę Eurytiona kamiennym dzbanem.

Podbiegł zadyszany Norbert.

– O kurcze! Kto to jest?

Ann oderwała wzrok od szkieletu. Miała ochotę obsztorcować asystenta, lecz nim podjęła decyzję, jakimi epitetami go zganić, zauważyła podchodzącą Teresę, wytrząsającą z sukienki żdźbła trawy. Mogła obojgu wygarnąć uleganie fizycznym popędom, lecz ktoś zdoła je poskromić? Centaur z obciętym nosem stanowił najlepszy dowód tego, że nikt.

– Przyjrzyj się szkieletowi i powiedz, co o nim sądzisz. – Zrezygnowała z reprimendy i zapytała o to, co było teraz najważniejsze.

Norbert przez kilka minut obchodził znalezisko z każdej strony, a jego oczy robiły się coraz większe z wrażenia. W końcu potrząsnął z niedowierzaniem głową i oznajmił:

– To musi być falsyfikat. Połączone szczątki różnych zwierząt, tak jak krowo-koń czy owco-byk z Dorset.

Ann nie wydawała się przekonana. Czytała o tym wykopalisku. Archeologowie odnaleźli celtycki grób jeszcze sprzed inwazji Imperium Rzymskiego, w którym złożono krowę z końskimi kończynami, konia z krowimi rogami, a nawet owcę z głową byka... zamiast tyłka. Jednak od razu było widać, że te hybrydy stworzono już w czasie pochówku z kości różnych zwierząt.

– Nie dostrzegam żadnych śladów, by zakładać, że złożono tu w kupę kilka szkieletów – stwierdziła Teresa, potwierdzając opinię Ann. – A zresztą, po co ktoś miałby to robić?

– Trzeba załatwić zezwolenie na przeprowadzenie badań w ośrodku naukowym – oświadczyła Ann. – Dopiero wtedy uzyskamy pewność. A teraz do roboty, zajmijcie się stanowiskiem tak, jak się należy. I już bez wspólnych przerw.

Była szczęśliwa. Naraz uświadomiła sobie, że to nowe znalezisko sprawi, że nie będzie mogła wrócić do Terrego. No tak, pomyślała, nigdy nie można być szczęśliwym w pełni.

Uwolnić śmieci

Pokiereszowane przez nieuwagę lub bezmyślność ludzką karoserie samochodów czekały w stertach na egzekucję. Pomiędzy skazanymi rzędami wraków, w lichym ubraniu siedł korpulentny, czterdziestoletni biały mężczyzna z poszarzałą ze zmęczenia twarzą, trzymając w dłoni pogiętą reklamówkę z dwoma hamburgerami od Shake & Shack na kolację. Nadchodził zmrok i William Trotter uznał, że czas poszukać noclegu na najbliższą noc. Jego ostatni dom, srebrny sedan Chrysler Sebring, został rano sprasowany. No cóż, taki los czekał wszystkie wraki, ale William przyzwyczał

się do jego przestronnego wnętrza i żałował, że auto nie przetrwało kilku dni dłużej.

Terenem działania Williama był trójkąt ulic 126 Street, Willets Point Boulevard oraz Norther Boulevard. Znajdowało się na nim kilkanaście szrotów samochodowych. W ostatnich latach, między Willets Point a ściekiem Flushing Creek, otworzono również kilka punktów ze sprzętem komputerowym, lecz specjalnością Trottera pozostały samochody. Znał wszystkie na pamięć i za drobną opłatą podpowiadał klientom, gdzie znajdą części do aut osobowych, a gdzie do amerykańskich czy meksykańskich tirów.

William nie lubił wychodzić poza teren swojego królestwa, a i Nowy Jork chyba nie lubił, jak go odwiedzał. Po raz kolejny przekonał się o tym kilka dni temu, gdy uległ namowom pracownika jednej z organizacji charytatywnych – Terrego jakiegoś tam – i zgłosił się do kliniki na badania medyczne. Udział w programie pomocy społecznej „Pokaż nam swój kod, a damy ci zdrowie” gwarantował mu miejsce w łóżku szpitalnym, chociaż on nie wyobrażał sobie, aby mógł dać się przykuć do łóżka choćby na godzinę. Jednak coraz częściej doskwierały mu przeziębienia, cholerne kichanie i dreszcze, a program pozwalał również na wizytę u lekarza, a później otrzymywanie darmowych leków. Spacer ulicą miasta, pośród zwykłych ludzi, spoglądających na niego z niesmakiem lub próbujących wcisnąć drobniaki, uświadomił mu, że jego miejsce jest na tym terenie, nawet jeżeli był to szrot. Też był śmieciem.

Niespodziewanie William usłyszał silniki kilku samochodów. Kto o tej porze odwiedzał jego królestwo? Z pewnością ludzie o złych zamiarach. Zmienił kierunek i lekkim truchtem ruszył w kierunku intruzów.

Pomarańczowy Volkswagen ogórek zjechał z 126 ulicy w Willets Point Boulevard. W jego wnętrzu, obok innych mężczyzn, siedział Cristian Jensen, osiemnastolatek o jasnej skórze i żółtych, prostych włosach. Po obydwu stronach ciągnęły się parterowe baraki, z tan-

detnymi – przeważnie w czerwonym kolorze – sztyldami. Po kilkuset metrach skręcili w prawo, w 35 Avenue i dotarli pod wiadukt Van Wyck Expressway. Ogórek zatrzymał się. Tutaj znajdował się cel ich misji – szrot sprzętu komputerowego. Zapomniane miejsce na trasie przelotowej cywilizacji.

– Uwaga, rozpoczynamy akcję – usłyszał głos szefa.

Z auta pierwszy wyskoczył Cristian, za nim Radomir i Lorenzo. Kierowca Bruce oraz formalny szef grupy Philip Weber pozostali na miejscach. Cristian przeszedł do tyłu i otworzył na całą szerokość drzwi, tak aby Radomir i Lorenzo mogli bez przeszkód wyjąć niemego bohatera tej akcji.

Wielosilnikowy statek latający Cristiana, model Dragonfly 3A, dla laika nie wyglądał zbyt okazale. Nie miał aerodynamicznych kształtów, wpakowanych w zaokrąglone pudło z włókna szklanego. Tworzyło go sześć nagich ramion z wirnikami plus jedno, o największej sile nośności, umieszczone pośrodku. Za to, kiedy inne amatorskie drony, półprofesjonalne quadrokoptery czy hexakoptery, bzyczały jak rój os, Dragonfly Cristiana był cichy i równie zabójczy jak jego pierwowzór w świecie owadów. Poza tym miał do dyspozycji o wiele dłuższy czas pracy, potrafił z pełnym obciążeniem pozostać w powietrzu trzy kwadranse. Na to obciążenie składały się trzy kamery oraz wyrzutnia miniharpunów. Dwie z kamer, w rozdzielczości 16K, filmowały akcję w zakresie światła widzialnego, trzecia, w mniejszej rozdzielczości, była kamerą termowizyjną.

Do Cristiana podeszła starsza o kilka lat od niego zastępczyni grupy Andrea Ubels. Dla niego to ona była mózgiem akcji – Philip Weber stanowił tylko ich wizytówkę.

– Za ile minut będziesz gotowy? – zapytała z troską Andrea.

– Wystarczy mi dziesięć – odparł, wiedząc, że gdyby nawet powiedział, że pół godziny, walczyłaby o ten czas dla niego jak lwica. Zdawała sobie sprawę z tego, że bez odpowiedniej oprawy relacji, słowotok Webera nie przyciągnie milionów internautów.

– OK – dziewczyna skinęła głową. Philip Weber, trzydziestolatek o blond włosach i groteskowo czarnych brwiach, wyszedł

z volkswagena i władczyim wzrokiem ocenił miejsce akcji. Zamknął oczy, uniósł głowę i rozchyłając lekko nozdrza wciągnął powietrze. Westchnął z nostalgią i oznajmił:

– Nie ma jak zapach śmieci przed wieczornym drinkiem.

Zaśmiali się jedynie Radomir i Lorenzo. Andrea udała, że nie usłyszała nędznej trawestacji cytatu.

Grupa Greenpeace podeszła do wybranej wcześniej bramy z blachy falistej. Liche zabezpieczenie, lecz za wrotami były przecież jedynie śmieci. Lorenzo bez trudu przeciął kłódkę i weszli na mały plac z kilkoma boksami ze sprzętem. Głównie telefonami komórkowymi, ale również smartfonami i tabletami. Weber zaczął się przechadzać, zaglądając do środka. Wciąż kręcił z niezadowoleniem głową. Sterty sięgały co najwyżej półtora metra.

– Te są za niskie – skrzywił się z niesmakiem Weber. – Mówiłaś, że mają wysokość trzech metrów!

– Były większe... – tłumaczyła się załamana Andrea. – Musieli wywieźć część sprzętu.

– Co najmniej jedna musi być wyższa... – zdecydował Weber.

– Szefie, a może przesypimy tych kilka kupek w jedną większą – zaproponował Lorenzo.

– Musimy tak zrobić. Inaczej akcja straci siłę przekazu – zgodził się Weber.

Andrea odetchnęła z ulgą. Połączyła się z Cristianem:

– Cristian, osadź drona. Mamy przestój.

Jego Dragonfly był już w powietrzu, chociaż ta część akcji nie miała być filmowana. Start i lądowanie to najtrudniejsze manewry i Cristian wołał, aby dron pozostał w górze.

– Ile minut?

– Co najmniej kwadrans – usłyszał po chwili.

– Baterie wystarczą. Wykonam oblot terenu. Może przydadzą się przebitki innych szrotów. I zrobię ujęcia Van Wyck Expressway. Pędzących samochodów, których kierowcy sądzą, że zmierzają do celu, podczas gdy tak naprawdę kręcą się tylko w kieracie cywilizacji.

– Dobrze... Kupuję pomysł. Jensen, koniecznie to sfilmuj – usłyszał głos Webera.

Cristian skrzywił się z niesmakiem. Myślał, że mówi do Andrei. Weber wiele rzeczy kupował, lecz nigdy za nic nie płacił. Choćby dobrym słowem.

Od strony Northern Boulevard nadjechały dwa czarne auta o kanciastych kształtach. Podobnie jak ogórek członków Greenpeace, również skręciły w 35 Avenue.

Na tylnym siedzeniu pierwszego wozu, w słuchawkach na uszach, w otoczeniu wielu monitorów siedział dwudziestokilkuletni Edgar Simasius. Kamery zainstalowane na dachu pozwalały mu śledzić otoczenie w świetle widzialnym, jak też obraz termiczny.

– Gdzie w tej chwili jest nasz cel? – nie odwracając głowy zapytał mężczyzna siedzący z przodu. Był to dowódca grupy, Michaił Plutin.

– Hm, opuścił swój rewir i przemieścił się w stronę rzeki – odpowiedział Edgar.

– Czyżby poszedł się wykąpać? Przynajmniej nie zasmrodzi nam wnętrza – zaśmiał się kierowca, spoglądając rozbawiony na dowódcę. Szybko jednak umilkł, gdy zobaczył, że Misza nie podchwycił żartu.

– Szefie, widzę tam grupę pięciu osób – zgłosił Edgar.

– Cel jest z nimi?

– Nie. Ale podąża w ich kierunku – odpowiedział technik.

– Może lepiej odłożymy akcję na jutro? – zaproponował kierowca.

– Obiecałem, że dostarczę śmiecia dzisiaj – odparł zdecydowanie dowódca. – Zatrzymajmy się tutaj. Rozpoczynamy akcję.

Dragonfly był już w powietrzu i dokonywał pierwszego zwiadu. Nagle Cristian zamarł. Z samochodów zaczęli wysiadać ludzie. Umieśnieni, o łysych głowach. W paramilitarnych ubraniach, z bronią automatyczną w dłoniach. Czyżby przyjechali ich zlikwidować? Już chciał połączyć się z Andream, uprzedzić grupę, gdy widok pasażera

z przedniego siedzenia pierwszego auta zamroził mu mózg. Mężczyzna nie był tak umięśniony jak pozostali, lecz miał... rogi.

Cristian zwiększył ogniskową obiektywu. Widział go tak wyraźnie, jakby ten stał pod jego stopami. Cristian musiałby odlecieć dronem dalej i obniżyć trochę pułap lotu, aby dostrzec wyraźniej twarz rogacza – lecz wtedy mógłby zdradzić swą obecność.

Dzięki podglądowi z kamery termowizyjnej zauważył postać człowieka kryjącego się po drugiej stronie szrotu, do którego weszli członkowie grupy Greenpeace.

Przerzucił się na obraz nowej grupy. Zobaczył, że obchodzą szrot z obydwu stron. Zrozumiał, że ich celem nie są jego towarzysze, a nieznajomy. Zamierzali go otoczyć.

Philip Weber stał przy wysokim na ponad trzy metry kopcu. Gdyby nie drobne oszustwo – pod cienką warstwą telefonów i smartfonów znajdowały się papierowe kartony – nie udałoby się uzyskać takiej wysokości. Ale Weber wiedział, że w relacjach telewizyjnych i internetowych taki szczegół nie zostanie zauważony.

– Możemy zaczynać Weber? – zapytała Andrea.

– Wolałbym, aby sterta była jeszcze wyższa, ale niebawem zajdzie słońce i nic nie nakręcimy.

– Lorenzo, Radomir, Cristian gotowi do zdjęć?

– Tak. Tak. Gotowy.

– Akcja! – wydała komendę Andrea.

– Nie dbamy o planetę, nie dbamy o rodziców i osoby starsze, nie dbamy o przedmioty ułatwiające nam życie codzienne – Weber zrobił krótką pauzę, dając czas kamerzyście na pokazanie planu ogólnego. – Znajdujemy się na wysypisku śmieci. Chociaż w języku fachowym są one nazywane szrotami. Ale, tak czy owak, to ostateczny etap obiegu przedmiotów długo wyczekiwanych, wymagających wielu poświęceń, uwielbianych, kochanych, a teraz skazanych na ostateczną likwidację. Przed sprasowaniem, a później wywiezieniem do hut, wyjmuje się z nich części mające jakąkolwiek wartość, wyż-

szą niż cena złomu. Do niedawna było to złomowisko samochodów, od dwóch lat swoje miejsce spoczynku znalazły tu również komputery, drukarki, telefony, smartfony...

William Trotter z uwagą przysłuchiwał się słowom młodzieniaszka, lecz w końcu nie wytrzymał:

– Dzieciaki, jesteście piękni i młodzi i macie kasę rodziców. Czujecie się jak młodzi bogowie. Poczekajcie z dziesięć lat, aż życie wkopie was w głębę. Ciekawe, kurwa, co wtedy powiecie o prawach smartfonów.

Nagle kapral Trotter wyczuł, że nie jest sam. Przestał słuchać aktywistów wielkich spraw i skupił się na swym otoczeniu. Nie ruszył się, ale jego zmysły nastawiły się na wyłapanie najcichszego dźwięku, a nozdrza zaczęły wciągać powietrze, aby wyczuć obce, niepasujące do otoczenia zapachy. Zwierząt lub – co gorsza – ludzi.

Stracił dwie minuty, ale już był pewien. Wielu ludzi zacieśniało krąg wokół niego z dwóch stron. Zasadzka! Jeszcze ich nie widział, ale słyszał i wyczuwał. Uciekać! Ale dokąd? Mógł przeskoczyć przez płot i wbiec na plac szrotu, gdzie grupa młodych bawiła się w sprawiedliwość. Ale przecież nie było wykluczone, że działali razem? Zrezygnował. Próba przebicia się przez jedno ze skrzydeł okrążenia też nie miała sensu. Nawet gdyby go nie pochwycili, to i tak kula okaże się szybsza. Kapral Trotter zrozumiał, że musi dobiec do nadbrzeża Flushing Creek. Jak tylko znajdzie się na otwartej przestrzeni, ucieknie im. Był tego pewien. Co prawda nie posiadał już takiej formy, jak w Afganistanie, kiedy to potrafił biec 50 kilometrów piaszczystą pustynią, ale przecież aż tak daleko nie będą go gonić. Wystarczy mu kilometr, dwa, aby zostawić pościg w tyle i ukryć się w zaroślach lub wbiec między budynki.

Na podzielonym ekranie Cristian obserwował pościg z wszystkich trzech kamer. Dostrzegł, że postać przy płocie wystrzeliła jak z procy

i pognęła w kierunku rzeki. Nim okrążające go grupy to zauważyły, uciekinier był już przy rzece. Ale nie wskoczył do wody, czego spodziewał się Cristian, a skręcił w prawo i zaczął gnać wzdłuż wybrzeża. Ścigający zareagowali z opóźnieniem. Dwóch ludzi rzuciło się do biegu wprost w kierunku rzeki, trzeci – ten niski, z rogami – wybrał kierunek po skosie. Cristian rozszerzył pole widzenia kamer. To był dobry wybór. Za wiaduktem ścieżki obydwu tras zbiegały się i jeżeli ścigający będzie biegł wystarczająco szybko, przetnie uciekinierowi drogę. I tak też się stało. Nie minęła minuta a pędzący rogacz zderzył się ze swym celem. Cristian przybliżył maksymalnie ogniskową obiektywów.

Gdyby był tylko jeden napastnik, mężczyźnie pewnie udałooby się uciec. Ale w kilka sekund po upadku dotarło do niego dwóch pozostałych członków grupy. Wierzgający nogami uciekinier został skutecznie przygwożdżony do ziemi.

Philip Webber zachowywał się, jakby znajdował się w transie. Rozkręcał się z każdą minutą przekazu. Był pewien, że jego przemowa pobije rekord oglądalności.

– Ta sarta czeka aż zostanie z niej wyssany każdy cent. Złomiarze przypieką te telefony, przepuszczą przez nie prąd, wymoczą w żrących sosach, wydobywając rzadkie – i cenne – metale. Powiecie, że to dobrze, wyczerpujące się kopaliny wrócą do obiegu bez konieczności budowania nowych kopalń. Tak, to prawda, gdyby nie jeden szczegół.

Weber podszedł bliżej do kopca i wyciągnął z niego jeden z aparatów.

– Z tych smartfonów wyjęto baterie oraz karty PIN. Ale, gdybyśmy je z powrotem włożyli, okazałoby się, że są w pełni sprawne. Wyrzucono je, gdyż zestarzały się technologicznie. Szybsze procesory, bardziej pojemne nośniki pamięci, ekrany o większej rozdzielczości spowodowały, że już przestały nam wystarczać. Przecież sąsiad ma lepszy model, więc ja muszę mieć jeszcze lepszy. To nasza

próżność sprawia, że koło handlu obraca się coraz prędzej, miażdżąc nas później niespłaconymi kredytami.

Weber włożył do smartfonu baterię, a potem kartę.

– Uwolnijmy śmieci, schowajmy je ponownie w kieszeniach garniturów.

Wybrał numer i włączył tryb głośnomówiący.

– Halo, dzwonię do ciebie! Przygarnij starego smartfona, on zna twoje najskrytsze marzenia.

Weber pogłodził aparat i schował go do kieszeni.

– Koniec! – krzyknęła Andrea.

– Nagraliście? – chciał wiedzieć Weber.

Operatorzy skinęli głowami. Mężczyzna spojrzał w górę.

– A gdzie jest dron? – zapytał z wyrzutem.

Powalony na ziemię, z unieruchomionymi rękoma, Trotter zaczął kopać nogami, rozdając celne ciosy. Jeden z nich trafił w usta żołnierza próbującego go obezwładnić. Trysnęła krew.

– Job twoju mać – usłyszał. Kaprał znał ten język z filmów oglądanych w młodości. To był Rusek, Ukrainiec lub inna komunistyczna swołocz.

– Czego ode mnie chcecie? Nie mam pieniędzy – krzyczał ze złością.

Do jego twarzy zbliżyła się postać z wyrastającymi z głowy rogami. William Trotter nie znał lęku, ale widok rogacza go wystraszył.

– Wiemy o tym. Ale masz coś o wiele bardziej wartościowego. Coś, czego potrzebuję.

– To niemożliwe, wiedziałbym o tym – rzucił hardo Trotter. Wobec komunistów nie zamierzał okazywać słabości.

– A jednak... mylisz się. Nawet taki śmieć, jak ty, może mieć coś cennego – uśmiechnął się rogacz. I zadał mu nokautujący cios w szczękę. Potem wstał i odchodząc rzucił do pozostałych:

– Zapakujcie go do samochodu. Koniec akcji.

Dragonfly wylądował bezpiecznie. Cristian był wciąż pod wrażeniem tego, co sfilmował i bał się, że nieostrożny ruch roztrzęsionych dłoni spowodzi katastrofę na jego cacko.

Nawet nie zauważył, że podeszła do niego Andrea.

– Co się stało? – zapytała z troską.

– Sam nie jestem pewien – odpowiedział łamiącym się głosem.

– Robiłem rekonesans, gdy moją uwagę przykuły dwa rządowe vany. A przynajmniej takie, jakimi jeździ FBI. Zacząłem je filmować, bo podejrzewałem, że chcą nam przeszkodzić w akcji...

– Ojej. I co? – dziewczyna zaniepokoiła się.

– Nie, nie chodziło im o nas. Porwali człowieka, jakiegoś bezdomnego. Uśpili go i zaciągnęli do jednego z vanów. Wrzucili do środka jak worek ziemniaków.

– Ale naszą akcję też sfilmowałeś? – zapytała ostrożnie, podejrzewając jaką usłyszysz odpowiedź.

– Andrea, jeden z porywaczy miał rogi! Nie mogłem oderwać od niego obiektywu. Zapomniałem o akcji.

– Co!?! – usłyszeli ryk wściekłości. To był Weber, który w międzyczasie podszedł do nich niezauważony. – Chcesz powiedzieć, że jakiś bezdomny ukradł nam show!?

– Mamy jeszcze zdjęcia z pozostałych kamer – usiłowała załagodzić sytuację Andrea.

– Zburzyłeś konstrukcję przekazu. Osłabiłeś wymowę mojego przesłania – krzyczał Weber szturchając palcem pierś Cristiana.

– Przestań Philip! Zdjęcia z góry miały być użyte tylko jako prebitki. Nic wielkiego się nie stało – próbowała go uspokoić Andrea.

– I co teraz zrobisz?! – Weber nie zamierzał zrezygnować.

– Wróć i jak najszybciej opublikuję na YouTube film z porwania – odpowiedział Cristian, odpychając dźgający go palec Webera.

Fatalny początek tygodnia

Terry Mykonos, wysoki na ponad metr dziewięćdziesiąt czterdzieści lat o wysportowanej sylwetce, jednak już zdradzającej brak aktywnego wysiłku, jechał windą w górę w towarzystwie dwóch mężczyzn w wieku dwudziestu kilku lat. Jego towarzysze wyglądali na takich, którzy potrzebują pomocy. Skóra spalona słońcem, krótko ostrzyżone włosy, sztywna postawa, w rozkroku, z rękoma założonymi jedna na drugą, wzrok utkwiony w jednym punkcie. Obydwaj w identycznych koszulkach hawajskich oraz szortach, co z pewnością stanowiło sposób na odreagowanie wojskowych uniformów. Było rzeczą oczywistą, że jeszcze miesiąc temu służyli na misji w Afryce lub Bliskim Wschodzie. Wyjeżdżasz na wojnę ratować świat, a po powrocie okazuje się, że to ty potrzebujesz pomocy świata. Nic tak nie uzmysławia bezsensu życia jak walka na froncie. Możesz sobie wmawiać, że walczysz o wolność rodziny, ojczyzny, ale wcześniej czy później uświadamiasz sobie, że wróg też o to walczy. Stoicie po przeciwnych stronach jedynie z powodu ambicji polityków.

Terry miał nadzieję, że nie jadał do biura „Lost in Life”. Wielu interesantów, zamiast do „Wounded Warrior Project” piętro wyżej, trafiało do nich. To nie był duży problem, w sumie łączyły ich podobne cele. Jednak główne zadanie jego fundacji polegało na odnalezieniu nieradzących sobie w życiu weteranów i skierowaniu ich do odpowiedniej organizacji, która zajęłaby się nimi dalej. Można powiedzieć, że „Lost in Life” było agencją detektywistyczną wyspecjalizowaną w poszukiwaniu zagubionych, a Terry był jednym z jej detektywów. Z racji wykonywanych obowiązków powinien zainteresować się problemami towarzyszy w windzie. Jednak teraz odczuwał złość i nie chciał żadnych nowych klientów. Wracał z Queens, gdzie umówił się z sierżantem Leonardem Creswellem. Gdy zapukał do jego drzwi, nikt nie odpowiadał. Sąsiedzi mówili, że powinien być w środku. Tknięty złym przeczuciem, Terry wyłamał drzwi. Mieli rację, sierżant był w mieszkaniu. Leżał martwy na łóżku. Obok dostrzegł strzykawkę. No cóż, spóźnił się. Pewnie ostatni, złoty strzał.

To nie było pierwsze spóźnienie, jakie mu się przydarzyło, lecz dzisiaj Terry zaczął się zastanawiać, czy nie powinno być ostatnie.

Winda stanęła. Terry ruszył w stronę wyjścia, ale zatrzymał go jeden z mężczyzn.

– Nie to piętro – szczechnął. Krótko i wyraźnie, jakby to był rozkaz.

– To wy jedziecie wyżej, ja wysiadam tutaj – odparł Terry i lekko utykając na lewą nogę, wyszedł z windy. Po chwili znalazł się w przestronnej sali z wieloma biurkami. O tej godzinie była niemal pusta, wszyscy detektywi znajdowali się w terenie.

– Heeyyy... Terrrry – przeciągając słowa, z zalotnym uśmiechem, powitała go Eliza Visser. Okrągłutka jak pączek trzydziestolatka o fioletowych włosach, rozczapierzonych jakby trafił w nie piorun.

– Hey, Eliza – odpowiedział, zmuszając się do uśmiechu. Kobieta potrafiła być bardzo nieprzyjemna, gdy ktoś ją ignorował i Terry nauczył się, że lepiej udawać radość, gdy witała go w tak przesłodzony sposób. Minął Elizę wydymającą w zalotnym uśmiechu usta i ruszył w głąb sali.

Nim usiadł za biurkiem, przyskoczył do niego wychudzony młodzieniec, z pryszczami na twarzy, który był bankiem informacji na temat wszystkich podopiecznych, jakich mieli. Diego Munguia pracował dla nich dopiero od pół roku, ale Terry nie wyobrażał sobie, aby mogło go zabraknąć. Chłopak nie potrzebował komputera, by pamiętać nazwiska, stopnie oraz adresy wszystkich klientów fundacji. Był w tym szybszy niż komputer.

– Słyszałeś? – zapytał przerażony chłopak. Terry skrzywił się z niesmakiem.

– O tragedii w Nowym Orleanie? – Media od rana krzyczały o zamachu we Francuskiej Dzielnicy w Lafitte's Blacksmith Shop na Bourbon Street. Prawie dziesięciu zabitych, kilkudziesięciu rannych, a co najgorsze – zburzony najstarszy budynek miasta. Prezydent Trump zapowiedział, że nie pozwoli, aby terroryści powstrzymali strumień amerykańskiego piwa prosto z beczki do gar-

deł Amerykanów i wyłożył z własnej kiesy 100 tysięcy dolarów. Po czym ruszyła narodowa zbiórka mająca na celu odrestaurowanie budynku. Ale nie ulegało wątpliwości, że jeszcze długo nikt nie napije się w nim lokalnego, warzonego piwa z beczki. Diego pokręcił przecząco głową.

– Nie, o wczorajszej akcji „Uwolnij śmieci” – wyjaśnił.

– Widziałem mnóstwo stert śmieci po drodze. Gdzie je uwolnili? – zaśmiał się Terry.

– Nie chodzi o śmieci.

– To o co? – Terry już nic nie rozumiał. Zazwyczaj Diego mówił dość składnie, ale widocznie ten poniedziałek nie tylko dla Terrego był ciężkim dniem. – Diego, nie mam nastroju do zagadek, spóźniłem się do sierżanta Leonarda.

– A niech to! – Diego zacisnął ze złością dłoń. Wykasowanie danych z bazy pamięci człowieka nie było tak proste, jak z komputera. Chłopak opanował się jednak i oznajmił: – Niestety Terry, też mam złą wiadomość. W czasie tej akcji porwano kaprała Trottera.

– Uznali go za śmiecia?! – krzyknął skołowany Terry, ściągając na siebie wzrok Elizy. Pomachał jej uspokajająco dłonią. Ponownie posłała mu całusa.

– Terry, spokojnie – zasyczał cicho Diego.

– No mów! – zażądał Terry.

– Nie uwierzysz... Lepiej zobacz to na YouTube.

To były zdjęcia z drona. Jedno długie ujęcie, z wykorzystaniem teleobiektywu. Operator porzucił zamiar sfilmowania akcji i skoncentrował się na pościgu za Trotterem. Terry skupił uwagę na autach, którymi przyjechali porywacze. Ich wygląd sugerował, że nie był to zwykły napad bandycki lub zemsta gangów, a akcja dobrze zorganizowanej grupy.auta bardzo przypominały używane przez armię pickupy International MXT-MV. Znał je doskonale, nie były wygodne, lecz za to bezpieczne, odporne zarówno na miny drogowe, jak i ostrzał z broni ciężkiej. Samochody ze zdjęć miały identyczne drzwi, nadkola, tylko stanowiły o wiele bardziej luksusową wersję pierwowzoru.

Porywacze działali metodycznie, wykorzystując nowoczesne środki łączności. Jedynym niepasującym elementem do tej akcji była osoba dowódcy. Cóż to za maskarada, w jakim celu założył te śmieszne rogi? Jednak, poza tym zgrzytem, film nie pozostawiał żadnych wątpliwości: kapral William Trotter został porwany.

Trotter służył w Afganistanie. W czasie jednego z patrołów jego oddział został okrążony przez Talibów. Kapralowi udało się przebić przez pierścień okrążenia. Potem ruszył po pomoc, jednak problem polegał na tym, że nie miał środków łączności, a od najbliższego miejsca postoju wojsk dzieliło go pięćdziesiąt kilometrów. Sierżant nie zastanawiał się, co ma robić. Zaczął biec po piasku oraz kamieniach, które przypiekały go palącym słońcem. Biegł bez wytchnienia cztery godziny. To był niesamowity wynik, jedynie najlepsi chodźnicy osiągalni podobne rezultaty. Za ten szalony bieg został odznaczony Srebrną Gwiazdą. Próbowano zrobić z niego zawodnika, lecz odpowiedział, że nie lubi biegać pod czyjeś dyktando.

William nie miał klaustrofobii, lecz zawsze twierdził, że czuje się źle widząc ściany w odległości mniejszej niż kilkadziesiąt kroków. Wolał otwarte przestrzenie i z tego powodu wybrał życie na szrocie, spanie w samochodach.

To było co prawda pierwsze porwanie, ale nie pierwszy przypadek zaginięcia podopiecznych Terrego. W ostatnim miesiącu zdarzyło się to już trzy razy, co z wczorajszym zniknięciem Trottera oznaczało utratę czterech osób. I chociaż Terry, chcąc pozostać przy zdrowych zmysłach, musiał oswoić się z faktami, to porwanie kaprała kazało mu przyjrzeć się tym przypadkom z innej perspektywy.

Zaczął porównywać ich dossier. I to nie na ekranie monitora, a wertując papierowe wydruki. Uważał, że przeglądając linijki tekstu na ekranie, nieświadomie pominie większość ważnych informacji. A zapisane słowa pozostają w pamięci na długo.

Szeregowa Jordana Onziema z Queens była mechanikiem w bazie Irkicik w Turcji i przygotowywała samoloty do nalotów na terytory zajęte przez ISIS w Libii oraz Syrii. Starszy szeregowy Hyesung

Rhee, zebrzący na Manhattanie, stacjonował na Okinawie w Japonii. Mieszkająca na Bronksie kapral Claudia Hurtad, służyła w Navy Seals i brała udział w szturmie na bazę terrorystów al-Szabab, odpowiedzialnych za atak na centrum handlowe Westgate w Kenii. Mężczyźni i kobiety. Biali, czarni, Azjaci i Latynosi. Żadnego związku, a nawet podejrzenie zróżnicowane pochodzenie. Marynarka, siły powietrzne i dwa razy wojska lądowe. Najwięcej było żołnierzy z piechoty. Bronks, Manhattan i Queens. W tym również trudno było dostrzec coś dziwnego, weterani niższych stopni nie mieszkali w najlepszych dzielnicach Nowego Jorku. Czy istniał jakiś wspólny mianownik? Poza tym, że wszystkich tych ludzi można by nazwać „śmieciami społeczeństwa dobrobytu”.

Zrezygnowany odsunął teczkę od siebie. A może jednak były to przypadkowe zaginięcia? Rokrocznie ginie w wypadkach, popełnia samobójstwa lub umiera w wyniku chorób równie wielu żołnierzy, jak na polu walki. A byli już tak blisko odzyskania równowagi. William zapisał się przedwcześnie do programu gwarantującego pełną opiekę zdrowotną. Program „Obamacare” nie rozwiązał problemu, a ten nowy miał wypełnić lukę, przynajmniej w odniesieniu do byłych żołnierzy.

Terry zastygł w bezruchu. Nie patrząc w dokumenty przeanalizował sytuację pozostałych weteranów.

– Tak, to oczywiście! – wykrzyknął.

Sprawdzenie danych zajęło mu tylko pół minuty. W końcu odnalazł wspólny punkt: wszyscy żołnierze, którzy zaginęli, zgłosili się do programu „Pokaż nam swój kod, a damy ci zdrowie”. Była to szeroko reklamowana w Internecie i telewizji akcja, mająca objąć opieką medyczną osoby nieubezpieczone. Detektywi fundacji otrzymali polecenie, aby promować program wśród byłych żołnierzy.

Terry już wcześniej zastanawiał się, czy warunek ujawnienia kodu genetycznego miał pomóc policji w stworzeniu bazy DNA wszystkich obywateli, czy też był to jedynie chwyt, uświadamiający bezdomnym, że nie ma nic za darmo, nawet jeżeli jest to nic niewarta informacja o kodzie genetycznym? Wtedy stwierdził, że to niska cena za możliwość leczenia szpitalnego i nakłaniał podopiecz-

nych, by zgłosili się do programu. Kapral William Trotter, po kilku tygodniach sugestii, też się zgodził. Teraz Terry uznał, że musi bliżej przyjrzeć się temu programowi.

To był pierwszy punkt zaczepienia. Za drugi uznał porywacza z rogami. Co to za bzdurny pomysł afiszowania się? Chyba że miał to być rodzaj maski? Każdy będzie szukał rogacza, a porywacz zdejmie po akcji rogi i nikt już go nie pozna. Terry skrzywił się. Wydało mu się to trochę naciągane.

– Diego, mam prośbę.

Diego spojrzał na niego pytająco.

– Zbierz informacje od pozostałych, ilu podopiecznych ostatnio zaginęło.

– Ilu porwano?

– Nie. Przestali się odzywać. I to nie z powodu śmierci.

– Rozumiem.

Terry nie mógł się skupić. Tak właściwie nie mógł już nic więcej zrobić bez zbadania sprawy w terenie. Miał dwa tropy, za którymi postanowił pójść równolegle. Na szczęście w obydwu przypadkach znał odpowiednich ludzi, mogących mu pomóc. Postanowił nie odkładać śledztwa.

– Muszę coś załatwić – wyjaśnił Elizie, wychodząc z pracy.

– Jasssne, skaaaarbie – wysyczała, posyłając mu buziaka. Gdyby nie była tak nachalna, może nawet dałoby się z nią porozmawiać.